

Dylematy euro-zbrojeń

Nie jest łatwo rozstrzygnąć, czy obwieszczona na początku marca 2025 roku unijna polityka „remilitaryzacji Europy” okaże się jeszcze jednym tromtadrackim fantazmatem, od jakich roi się historia UE, czy też faktycznie jesteśmy świadkami początków reorientacji polityki bezpieczeństwa na naszym kontynencie.

Jako sceptyk, tylekroć obserwujący różne „przełomowe” europejskie projekty, mające odmienić złe trendy i przywrócić Europie jej globalne znaczenie (od sławetnej „Strategii Lizbońskiej” poczynając, która obróciła się w końcu w swoje przeciwieństwo), skłonny jestem spodziewać się utknięcia i wykolejenia także i tego ambitnego przedsięwzięcia. Uniwersalizm europejski ma w swej naturze swoistego bakcyła imposybilizmu, który sprawia, że niesione naprzód, ze śpiewem „Ody do radości” na ustach są tylko te plany i zamiary, które ożywia duch postępowej ideologii. Dlatego pomimo wszystko udaje się na przykład (jak dotąd) walka o eliminację tradycyjnych źródeł energii, albo kampania na rzecz obalenia tradycyjnych norm obyczajowych. Jednak idea „remilitaryzacji Europy” nie ma sobie nic z postępowego patosu schillerowskiej ody, odczytywanej współcześnie, jako obietnica „nowego wspaniałego świata”, uwolnionego od zmory katolicyzmu, narodowości, patriarchy i ocieplenia. A plan „Rearm Europe”, ogłoszony ostatnio na zebraniu przywódców Europy, ma raczej cofnąć kontynent do przewyciężonej już ponoć epoki chrzęstu gąsienic czołgów, ciężkiego przemysłu zbrojeniowego, wojskowej dyscypliny i poświęcenia dla ojczyzny. To wszystko jest zaś bardzo odległe od chęci i upodobań liberalnych Europejczyków.

Możliwe zatem, że cały ten plan, z jego ośmiuset miliardami euro, których źródła i pochodzenia nikt jak dotąd nie zna, okaże się tylko krótkim wybrykiem europejskiej buńczuczności, sprowokowanej nachalnym żądaniem Trumpa, aby Europa natychmiast zajęła się sama swoim bezpieczeństwem, w tym także przyszłością europejskiej *par excellence* Ukrainy, oraz przestała uprawiać (jak to określił Hegseth) „pathetic free-loading”. Nie minął dotąd nawet miesiąc od ogłoszenia planu, a już wiadomo, że nie może on być przyjęty w trybie pilnym, jak to zamierzyła sobie pani von der Leyen. Albowiem nie są nim zainteresowane ani kraje unijnego południa, które żadnych euro-pożyczek na armię brać nie będą, bo się panicznie boją widma niewypłacalności, ani też kraje unijnej północy, bo ze swym niezłym standingiem finansowym, jak będą chciały, to sobie same mogą wziąć lepsze pożyczki na wojsko, niżli te oferowane przez Brukselę. Jedni chcieliby więc prezentów od Europy, a drudzy nie zamierzają ich finansować, a tym samym cała rzekoma „remilitaryzacja” wraca do tak dobrze znanego i typowego dla Europy sporu: kto ma się zadłużyć i kto ma za to zapłacić? Sławny merkantylizm Trumpa, patrzącego ponoć na wszystko przez pryzmat zysków i strat finansowych, jest niczym, w porównaniu ze strukturalną blokadą wpisaną w naturę Unii, która ani nie jest zdolna w „hamiltonowski” sposób stać się fiskalną federacją, płacącą długi za wszystkich, ani też nie jest w stanie generować wielkich programów paneuropejskich bez długów, za które odpowiedzialne mają zawsze być państwa członkowskie. Ten unijny dylemat, coraz częściej wyglądający na kwadraturę koła, widać gołym okiem co najmniej od czasu kryzysu finansowego z początku wieku.

„Światło arki” - Jan Rokita o Leonie XIV, papieżu-Amerykaninie

Założmy jednak na chwilę, że tym razem liderzy Europy tak bardzo wzięli sobie na ambit presję okoliczności, w tym zwłaszcza żądania Trumpa, że tak jak po covidzie, dojdą w końcu do jakiegoś „remilitaryzacyjnego” *modus*

vivendi. Przy czym nie będzie to zapewne oznaczać euro-zbrojeń na skalę, która pozwoliłaby w przyszłości Europie zadbać o swe własne bezpieczeństwo, nie mówiąc już o bezpieczeństwie naszego środkowo-wschodniego i wschodniego regionu, ale jakiś kolejny europejski fundusz dłużny, tym razem zmobilizowany na militarne potrzeby. Być może będzie to owe skromne 150 miliardów, o których teraz się dyskutuje, czyli kwota przeszło trzy razy mniejsza od wzrostu długu zbrojeniowego, jaką na żądanie Merza właśnie uwolnił odchodzący Bundestag. Jednak w dzisiejszych realiach, w których obok brutalnie zislamizowanych przez Erdogana sił zbrojnych Turcji, nie ma w Europie żadnej armii zdolnej do skutecznego wejścia w wojnę z Moskwą, o ile nagle zdarzyłaby się taka konieczność, każdy wysiłek zbrojeniowy, nawet całkiem niewystarczający, byłby zwiastunem nadziei. A tymczasem poza Niemcami, które – jak się zdaje – pod rządami Merza po raz pierwszy zaczynają traktować odbudowę Bundeswehry jako swą narodową misję, a dysponują przy tym silnym potencjałem przemysłu zbrojeniowego, nie widać żadnego innego państwa, zdolnego do podjęcia podobnego wysiłku na własną rękę i w poczet własnego długu. Z pewnością nie jest do tego dziś zdolna ani Francja, ani Anglia, ani oczywiście Polska, która i tak już zdecydowała się na wysiłek ryzykownie wykraczający poza swój realny finansowy potencjał.

Takie wspólne przedsięwzięcia mają jednak w polityce swoją cenę; cenę, którą rozumie polska prawica. Rzecz jasna nie chodzi wcale o ewokowany teraz na prawicy lęk przed rzekomym odebraniem Polsce suwerenności nad własną armią, albo ryzyko podporządkowania spraw wojska i wojny większościowemu głosowaniu w Brukseli. Przed tym ostatnim chronią wyraźnie postanowienia traktatów europejskich, w tym w szczególności art. 333 drugiego traktatu, *explicite* zakazujący w tej dziedzinie wszelkich eksperymentów decyzyjnych z tzw. „procedurą kładki”. W tego rodzaju strachach jest sporo propagandowej przesady, która ma pomóc wyraziście kształtować emocjonalne nastawienie wyborców. Prawdziwa cena wspólnego

wysiłku euro-zbrojeń – to nie jakaś radykalna zmiana traktatów, która na horyzoncie się nawet nie rysuje, tylko coś, co w politycznej praktyce Unii ostatnich lat jest być może nawet gorsze, niżli legalna i wynegocjowana nowela traktatów. To umocnienie najgorszych praktyk stosowanych przez instytucje europejskie w ciągu ostatnich lat, jawnie i niejawnie, legalnie i nielegalnie, ale zawsze za wszelką cenę. To kolejne rozděcie władzy Komisji Europejskiej, bo tak jak przy pocovidowym KPO, ktoś musi przecież administrować nowymi wydatkami. To wreszcie nowe pole otwierane dla dobrze znanej ideologicznej tendencyjności przy alokacji funduszy, wspieranej pseudo-prawniczą doktryną o tzw. „horyzontalnym kryterium” wykorzystywania każdego wspólnego euro. Za jakiś czas mogłoby się okazać, że warunkiem uczestnictwa w programach wspólnej obrony jest taka czy inna decyzja na temat hermafrodytów albo klimatu. Rzecz bowiem w tym, że od jakiegoś czasu Unię zarządzają ideologiczni fanatycy, zdolni do każdego absurdu, jeśli tylko da im się po temu okazję, więc nie należy ani mieć do nich zaufania, ani tym bardziej dobrowolnie poszerzać zakresu ich władzy. No tak, łatwo to wszystko powiedzieć. Tyle tylko, że dopiero tak mocno wyrażona przestroga obnaża z całą wyrazistością drugi wielki dylemat idei euro-zbrojeń, podobnie jak poprzedni, też coraz bardziej przypominający kwadraturę koła. Postęp europejskiego centralizmu jest przecież logiczną konsekwencją każdego wspólnego planu zbrojeń, a bez takiego planu nie będzie żadnej „remilitaryzacji” Europy, a co najwyżej samodzielna i narodowa „remilitaryzacja” Niemiec. Koniecznie więc trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, czy z pewnością o taką europejską przyszłość nam właśnie chodzi?

Jan Rokita

fot. *Alex Kuhn / ArtService / Forum*

Flietony Jana Rokity „Z podbieszczadzkiej wsi” - zobacz pełną listę

